

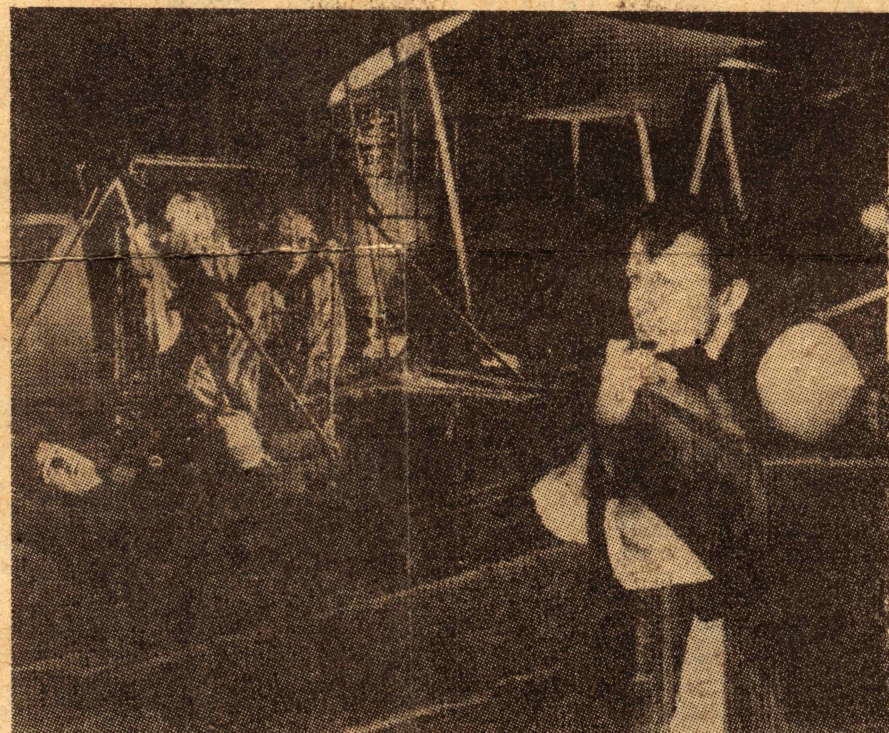
## LITERATURA

Warszawa, ul. Koszykowa 6-8

wydanie

7

12 -02- 81



KRZYSZTOF GLOBISZ (KARL ROSSMAN), JERZY DOMINIK (DELAMARCHE), IZABELLA SUL-POLABIŃSKA (BRUNELDA), BOGUSŁAW LINDA (ROBINSON).  
FOT. W. PLEWIŃSKI

### WARSZAWSKIE SPOTKANIA TEATRALNE (2)

# WYSPA MELANCHOLII

Jan Kłossowicz

**P**o przedstawieniu pokazanym podczas Warszawskich Spotkań wszyscy będą na pewno przypominać Grzegorzewskiemu, zrobioną równo osiem lat temu inscenizację tejże *Ameryki* Kafki na scenie *en rond* warszawskiego Ateneum. Mnie samemu powiedział ktoś, że tamten spektakl niemiłosiernie „zjechałem”. Wziąłem więc do ręki swoją starą recenzję i, jak mi Bog miły, niczego takiego nie znalazłem. Owszem, napisałem wtedy, że reżyser już w pierwszej, znakomicie pomyślanej scenie powiedział od razu wszystko, co miał na temat *Ameryki* do przekazania, ale cała recenzja daleka była od jakiegokolwiek „zjeżdżania”, wprost przeciwnie starałem się zapisać jak najwięcej z tego, co mnie zainteresowało lub poruszyło. Poza tym jednak sądzę, że choć porównanie obu tych *Ameryk* może być interesujące dla przyszłego autora monografii o Grzegorzewskim (piszcie adeptci wiedzy o teatrze!), to o spektaklu zrealizowanym we wrocławskim Teatrze Polskim należy mówić całkiem osobno.

Jest to widowisko stanowiące swoistą kwintesencję skryzystalizowanego już bardzo wyraźnie przez Grzegorzewskiego jego własnego stylu teatralnego, który kiedyś nazwałem puentyzm. Przedstawienie skomponowane z płam, błysków, świateł i cieni, rozpadające i składające się na nowo, jak ruchoma mozaika — nastrojów, odezwań, ruchów, gestów, majaczących w ciemności postaci, przedmiotów, głosów i dźwięków, słów i obrazów, które na chwilę jasno pokazane zaraz giną, rozplywają się i pojawiają znowu. Niezwykła delikatność, wirtuozowska umie-

jętność stopniowania napięcia, oryginalna rytmika, bezbłędny słuch i oko reżysera tworzącego kompozycję we własnej „dodekafonicznej” gamie. Jest w tym nastrój melancholii przywodzący na myśl *fin de siècle* a zarazem niepokój przypominający muzykę Weberna.

Imponuje niezwykła wewnętrzna dyscyplina tego przedstawienia, jego precyzja kompozycyjna i wykonawcza całego prawie zespołu aktorskiego, tak różna od nieporządku i skłócenia, które zniszczyły zrealizowane na tejsze scenie warszawskiego Teatru Dramatycznego — gdzie odbywają się Spotkania — *Wariacje*, po których niektórzy zasłużeńi stołeczni recenzenci okazali przedziwny przypływ awangardowego ducha.

Wróćmy jednak do *Ameryki*. To przecież przedstawienie niezwykle, tak cudownie odległe od czasu i miejsca, w którym się je gra. Aż dziw bierze, że można wejść do teatru i odgrodzić się całkowicie od świata, zanurzyć w duszę bahatera i wędrować za nim po upiornym hotelu, wśród wyczarowanych przez Grzegorzewskiego autentycznych przedmiotów udających ten hotel, tę „amerykę”, statek — miejsca wędrowki ku śmierci. Wszystko dzieje się tu tak wolno i tak łagodnie, że nawet krzyk aktora i gwałtowny gest jest tylko poruszeniem ciemnej wody zaciemnionego stawu, na którym majaczy wyspa umar-

łych. Wspaniały jest ten luksus duchowy i ta artystyczna odwaga reżysera, który buduje cały teatr z melancholii i nadaje mu cechy powszechne i wszystko ogarniające. Grzegorzewski wydaje się tu jakimś niezwykłym introwertykiem, który całkowicie obojętnie spogląda na biegnący gdzieś wokoło tłum i dostrzega nie ludzi, ale Człowieka interesując się tylko tym, co się dzieje wewnątrz, tym, o czym myślimy sami, w nocy, kiedy ogarnia nas lęk lub poczucie „tajemnicy istnienia”. W tym właśnie może kryje się najgłębszy sens jego fascynacji i jego zrozumienia dla twórczości Kafki.

Dobrym ujawnieniem takiego właśnie stanowiska jest otwarte podczas finału okno w tylnej ścianie sceny, okno, za którym widać latarnie uliczne i światła w domach, reflektory samochodów, jakiś neon — życie, świat zewnętrzny — przeciwstawiony, temu, co trwa i dzieje się w teatrze.

Podziwiam, ale nie mogę się przejąć. Doceniam i rozumiem, ale pozostaję mało poruszony. Cała problematyka związana z pisarstwem Kafki wydaje mi się w tej chwili odległa. Nawet w zasadniczych sprawach dotyczących podstaw egzystencji bliższe wydają mi się rozstrzygnięcia prostsze, nawet naiwne lub brutalne, ale wyraźniej i nie tak pesymistycznie mój byt określające. Nastrój melancholii, którym upić się można zanurzwszy w tym przedstawieniu, roztopia mi się i zaczyna odpływać, jak woda z płowego ciemnego stawu, a wyspa umarłych ani nie straszny mnie zanadto, ani też nie nęci.

Nie chciałbym przez to powiedzieć, że jest to po prostu widowisko tak oddalone od nastroju i temperatury chwili, w której się pojawiło, że nie może przejąć i zainteresować. Uważam, że sztuka nie musi, a często wcale nie powinna starać się iść razem z historią, ale wydaje mi się, że ten spektakl ma zbyt mało siły — i myśli i uczucia, żeby poza wrażeniem piękna i doskonałości mógł coś więcej nam zaofiarować. Znowu, jak w *Nie-Boskiej*, to teatr — aż teatr i tylko teatr. Miejsce wewnętrzznego wzruszenia i cichej zadumy w obojętnym tłumie sąsiadów. Miejsce cudowne i paskudne, które Grzegorzewski jak mało kto zna i rozumie, i którego nie potrafił chyba jeszcze dostatecznie znienawidzić.

Teatr Polski we Wrocławiu. Franz Kafka: „Ameryka”. Adaptacja, reżyseria i scenografia: Jerzy Grzegorzewski. Muzyka: Stanisław Radwan. Występy na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych w styczniu 1981 r.

P.S. W moim felietonie o satyrze kabaretowej napisałem, że w „Szpilkach” można przeczytać paskudnawy felietonik. Daniel Passent stwierdził w „Polityce”, że miałem na myśli Jerzego Urbana, (którego nazwisko w ogóle w moim felietonie nie pada). Czyżby dla D.P. już sam przymiotnik „paskudnawy” stanowił jednoznaczne określenie twórczości Urbana.